



Co w TV piszczy

## Nie znoszę castingów



Ze STANISŁAWEM  
JASKUŁKĄ  
rozmawia  
Andrzej  
Nowakowski

Był okres, że odszedł Pan ze sceny, zajął się biznesem. Czyżby teatr, film znudziły Pana?

- Nigdy nie czulem znużenia. To raczej życie zmusiło mnie do podjęcia takiej decyzji. Ciężko jest utrzymać rodzinę wyłącznie z pensji teatralnej. W latach 70. inaczej to wyglądało, dało się żyć. Teraz pensja aktora w teatrze to gaża w granicach średniej urzędniczej. Przez blisko trzy lata pracowałem więc w budownictwie, a konkretnie w nieruchomościach. Od pewnego czasu staram się pogodzić tę pracę z występami na scenie.

Jest to możliwe?

- Dorosłem do tego, by samemu decydować gdzie i kiedy chcę grać. Mam więc czas na dodatkową działalność, co by nie mówić intratną. Przerwa na scenie trwała krótko, pojawił się teatr impresaryjny Test Andrzeja Marczewskiego. Dusza aktora dała znać o sobie. Powróciłem. Teraz gram też w telewizji m. in. w „Plebani”. Czuję się przede wszystkim aktorem, który, powiedzmy, umie robić w życiu jeszcze coś poza tym.

Nie wścieka się Pan, gdy w czołówce filmu pojawia się nazwisko Jaskułka pisane przez „ó”, a bywało, że i Jaskuła?

- Nie. Jaskuła pisali do 30 odcinka w „Plebani” i nic się nie stało. Często na planie filmu, bądź za kulisami, wiele osób zwraca się do mnie po prostu Jaskuła. Myślę, że stąd brały się te nieporozumienia. Nie gniewam się o takie sprawy.

Ale Kukułka to już chyba lekka przesada?

- Raz się tak zdarzyło, ale bardziej mnie rozśmieszyło niż wkurzyło.

Jest Pan wszechstronnym, doświadczonym aktorem, pracował w wielu teatrach. Mimo wszystko pozostaje bardziej znany z twarzy niż z nazwiska.

- To prawda. Zawodowo przeszedłem przez wszystko, bo i przez wodewil, farsę francuską, ale głównie grałem rzeczy dramatyczne. Co nie oznacza, że komedia jest mi obca. By zagrać dobrze rolę komediową trzeba do tego, wbrew pozorom, podchodzić bardzo poważnie i być nie mniej poważnym. Ostatnie lata pracy w teatrze łódzkim to również musicale. Choćby główna rola w „Huśtawce” z tekstami Wojciecha Młynarskiego.

W swojej karierze bardzo często zmieniał Pan teatry.

- Przede wszystkim miasta. Wszystko zaczęło się w Krakowie, gdzie ukończyłem PWST. Przeniosłem się do Łodzi. Później los rzucił mnie do Koszalin, ale już tylko na rok. Stamtąd na cztery lata przeniosłem się do Lublina, później również na cztery lata do Wrocławia. Tam poznałem żonę, która m.in. uczyła nas w teatrze śpiewu. „Wyśpiewaliśmy” dziecko i szczęśliwie całą rodziną przenieśliśmy się raz jeszcze do Łodzi, gdzie spędziliśmy kolejnych 15 lat. Łódź w tej chwili umiera. Nie ma sztuki, teatru. Musieliśmy uciekać.

Wreszcie dojechał Pan do Warszawy. Na jak długo?

- W Warszawie mamy swój dom. Nie zamierzamy stąd się wyprowadzać. Może na stare lata pomyślę o jakimś domku w lesie z małą stadną koni. Kocham te zwierzęta. Jak na razie, to jednak tylko marzenia.

Kocha Pan konie, dlatego w jednym z wywiadów porównał Pan casting do wybiegu?

- Bo tak jest w istocie. Casting to nic innego jak swojego rodzaju wybieg, maneż. Nie znoszę tego i chyba nie przełamię w sobie już tej niechęci. To forma dobra dla młodych, drażliwych aktorów. Nie dla mojego pokolenia.

Przy obsadzie ról w „Plebani” miały miejsce liczne castingi i jakoś Pan sobie poradził?

- Nie wiem czy liczne. Ja osobiście w żadnym nie uczestniczyłem. Postawiono na mnie wcześniej i mam nadzieję, że nikogo nie zawiodłem. Nie gram w tym serialu głównej roli, ale postać, którą kreuję, powoli, z odcinka na odcinek, rozwija się. Tak więc chyba jest wszystko OK.

Jest Pan pionierem na naszym rynku reklam telewizyjnych.

- I to w dosłownym tego słowa znaczeniu. W 1992 roku zagrałem w jednej z pierwszych reklam Pioniera.

Nie widzi Pan w tym nic złego?

- Ja nie, choć mam kilku przyjaciół aktorów, którzy za żadne skarby nie wystąpią w tego typu produkcjach. Ja to szanuję, ale nie oszukujmy się, występ w reklamie to konkretne pieniądze. W dwa, trzy dni można zarobić półtoraroczną pensję aktora teatralnego, a mając rodzinę muszę myśleć przede wszystkim o niej.

Dziękuję za rozmowę.